Rozmaitości

Dnia 5. Sierpnia Nr 31. 1837 Roku.

POLOWANIE ARTYSTY.

(Z *Revue de Paris* przez p. Meri.)

Pan Chay, wesoły bezżeniec i znakomity artysta południowéj Francyi, polował za bramami Marsylii nie daleko morza, w październiku r. 1811 czy 1812; była 5ta godzina z rana.

Polowanie w krajach południowych jest bardzo odmienne od polowania na Północy. Nie brakuje tam na myśliwych, ale więcéj na źwierzynie i polowanie jest tam z wielą trudami oraz kosztami połączone. Myśliwy wstaje o godzinie trzeciéj z rana i jednę lub dwie godziny drogi idzie z klatkami do swojéj chaty łowieckiéj, którą wyrazem technicznym stanowiskiem nazywają. Tam klatki napełnione ptakami, rozwiesza po gałęziach, wchodzi do chaty, stawia strzelbę, przypatruje się gwiazdom, zanurza się w myślach, przechadza się, by się rozgrzać, żuje szpilki jodłowe, oddécha powietrzem lasu, zachwyca się wschodem słońca, patrzy na morze, złorzeczy chmurom, wzdycha choć za odrobiną północnego wiatru, rysuje okolicę, a o dziesiątéj godzinie powraca szczęśliwy i zadowolony: polował. Na zajutrz tak samo zaczyna. Myśliwy ogromne ponosi koszta dla sprawienia sobie téj rozrywki; nie do uwierzenia ile taka chata łowiecka kosztuje, jeśli jest dostatecznie urządzoną. Gdy los złowrogi zaniesie przypadkiem nieszczęśliwego drozda do lasku, ażeby go myśliwy marsylski spolował, drozd taki kosztuje czasem myśliwego do pięćset franków. Jeden z przyjaciół zaprosił mnie raz na półmisek trzynadli, które go, licząc wszystko, tysiąc talarów kosztowały.

Na takieto polowanie wybrał się p. Chay, a zwłaszcza z całym ogniem południowéj artystowskiéj duszy. Posłuchajmy co się mu stało, na téj jego myśliwskiéj wyprawie:

Patrzył ku niebu i nic, jak zwyczajnie, nie widział; na raz sprzyjająca mu gwiazda, która w téj chwili na widokręgu błysnęła, zesłała ptaka do jodłowego lasku. Zmrok poranku ochraniał tę nieszczęśliwą ptaszynę. P. Chay patrzył i patrzył i zdawało się mu nareszcie, że coś odkrywa w drzew przeźroczystéj zieleni; wymierzył strzelbę ku temu wątpliwemu przedmiotowi, lecz bał się wystrzelić, ażeby omamienia nie stracić. Dzień ociągał się z przyjściem, pan Chay liczył gwiazdy; jeszcze ich tylko trzynaście było na niebie; złowieszcza liczba, siedm gwiazd wozu a sześć Oryona, i jeden zabłąkany planeta, wyglądający, jak gdyby słońca oczekiwał.

Nareszcie gubiący się w zaroślach cień płowy wydał biednego ptaka; myśliwy spostrzegł go w szarzącém się kole światła; teraz popędom żądzy myśliwskiéj już oprzéć się nie mógł. Strzał jak ogień sztuczny padł z lufy i stał się napomnieniem dla ptaka. Ubiłem go! zawołał myśliwy i poskoczył ku drzewu, na którem ptak się kołysał; podniósł z ziemi kilka umszonych kamyczków i kawałków kory, ale ptaka nie było; tylko piórko przylepiło się do żywicznych szpilek jedliny. Pan Chay porwał z zapałem piórko, jako dowód swéj niezręczności i patrzył nań z melancholijnym wzrokiem oraz bolesnym uśmiéchem. Różana jutrzenka wzniosłszy się na niebie upromieniła piórko, które pan Chay jak ozdobę ornitolo-

giczną zatknął w dziurkę od guzika. Rzucił wzrokiem na okolicę; słońce zdawało się z niego najgrawać; powietrze było próżne i ciche. Nigdzie ptaka ani słychu. Pan Chay nabił na nowo strzelbę i szedł przez las, w spadłych liściach brodząc nogami, a czéj z nich ubitego ptaka niewygrzebie; potém pojrzał ku wierzchołkom drzew, nadstawiał uszy na najmniejszy brzęk chrząszcza, lecącą osę wziął za ptaka, a przytém ciągle przeklinał: to brzask poranku, to złe strzelby, to pewne konstelacyje na niebie, dające myśliwym omylne światło.

Otóż ón! skrzyknął nareszcie pan Chay i w istocie był to ptak, który z wysokiéj trawy wzbił się w powietrze. Strzelba jak gdyby sama od siebie wypaliła, a wystrzeliwszy bez celu, utrąciła tylko dwie jodłowe szyszki. Ptak tryumfująco odleciał bujając z lasku ku wzgórzom, z tamtąd po nad doliny, a z dolin ku brzegom morza. Pan Chay puścił się odważnie za napowietrznym torem ptaka. Była ósma z rana.

W zapale ścigania był pan Chay niezmordowanym. Ptak co tysiąc kroków, jak gdyby licząc, odpoczywał a właśnie odlatywał, gdy do niego strzelbę wymierzono. Myśliwy i ptak przebyli w ten sposób kilka dolin i pagórków; oba podróżni byli znużeni, noc zapadła, a ładna włość St. Cyr oświécała właśnie okna swych domków. P. Chay zgłodniały, spragniony, zmęczony do upadłego, postawił strzelbę u drzwi gospody pod czarnym orłem, pod czas gdy ptak innego szukał schronienia.

Gospoda dla znużonego wędrowca jest w nocy obrazem raju. Pan Chay kazał sobie dać dobrą wieczerzę, która mu razem za śniadanie służyć miała, a potém wesół i zadowolony, poszedł do łóżka. W nocy śniło mu się, że najpiękniejsze ptaki rękoma łowił.

Zaledwo świtać zaczęło, już był do dalszéj drogi przygotowany. Prawy myśliwiec wstaje zwykle o świcie. Nim jednak zabrał się z powrotem do Marsylii, raz jeszcze rzucił tęsknący wzrok ku szczęśliwym niwom Chastelbetu, gdzie jak wnosił, ów niedościgniony ptak zapewne nocleg odbywał. Pan Chay przechodził koło zwalonego na pół muru, okrytego szerokim kobiercem krzaków kaparowych. Końcem lufy poruszył gałęzie, gdy nagle cichy szelest, a zaraz potém bicie skrzydeł obecność ptaka wydało. Uleciał; pan Chay na los szczęścia wystrzelił i przez winnice za dymem, śrótem i ptakiem pobieżał. O powrocie do Marsylii zapomniał i pędząc przez doły i góry przybył do ładnego miasteczka Hyéres, które swojemi pomarańczowemi drzewami okolicę wonią balsamiczną napełnia.

Pan Chay nie był jeszcze w Hyéres, a przytém lubił niezmiernie pomarańcze. Nim się udał na spoczynek, ogarnęła go chętka zwiedzić prześliczny ogród Hesperydów, należący do pana Filhe. Poszedł tam ze strzelbą pod pachą. Księżyc był w pełni i światłem swojém ośrébrzał wierzchołki drzew palmowych. Artystyczny myśliwiec jak wszyscy południowce miał poezyjny umysł. Poddawszy się łagodnym wylaniom serca, w zmysłowéj melancholii oddéchał woniami tymianu i pomarańczy, które w około niego nocny powiew morza rozléwał. Ach! (westchnął) gdybym miał tu moję wiolonczelę, zagrałbym na niéj dumkę z »Józefa w Egipcie.«

Jak znak zapytania zgiął się nad krzaczkiem, który księżyc czarodziejsko ośrébrzał; byłoto drzewko kaparowe. Krzaczek odpowiedział lekkiem poruszeniem listków. Myśliwiec wyprostował się, jak wykrzyknik, gdyż o pięć kroków od siebie, na ogołoconéj z liści gałęzi, spostrzegł ptaka, jak wstrzęsając piórami, w świéżém powietrzu nocy życiem się radował. Ani wątpić, że to był ptak jego! Lecz artysta nie śmiał przez delikatność strzelecką odwieść kurka; zdawało się mu nie sumiennie strzélać o pięć kroków do ptaka. Do tego wystrzał mógłby go osmolić, tak pan Chay pomyślił. Zresztą w Hyéres, jak wszędzie, zakazano strzélać o 11téj w nocy. Pozostał więc jak wryty na miejscu, pod czas gdy ptak dziób pod skrzydła schowawszy, usnął nie troszcząc się o nic, jak dziecko na brzegu przepaści.

Pan Chay oczekując w téj postawie dnia, przypatrywał się jak spi niewinność w postaci ptaka, i przebiegał w myśli jeneralną próbę krwawego dramatu, jaki miał zamiar wykonać o świcie. W wyobraźni wystawiał sobie zabitego ptaka, jak go piéc bę-

dzie, a potém przyprawiać z sosem kaparowym; pożérał go oczyma. Tego mu nie można było mieć za złe, był bowiem dnia tego naczczo jeszcze i mógł w każdém miejscu, gdzie się tylko wydarzy, jeść objad.

Poglądając często na zégarek, by ile możności wschód słońca przyspieszyć, ujrzał nakoniec jak wschodziło nad miasteczkiem Hyéres. Teraz z najzimniejszą krwią odstąpił o dziesięć kroków, spokojnie wymierzył do ptaka, wziął go dobrze na cél, odwiódł i pociągnął kurek. Ależ jak na nieszczęście żadnego nie obudził echa; proch na panewce zamókł w nocy. Rozgniewanemu panu Chay mimowolnie wydarło się z piersi najstraszniejsze myśliwskie przeklęctwo, to obudziło ptaka, rozwinął skrzydła i uleciał ku południowi. Pan Chay wezwawszy drzewa pomarańczowe za świadków, że ptaka żywcem lub trupem dostać musi, w tymże za nim kierunku poskoczył. Myśliwska namiętność jego przechodziła teraz prawie granice szaleństwa. Niszczył po drodze krzewy kaparowe, pożérał kapary, strzélał do każdego ptaka, który się mu choćby na pięćset kroków nawinął, pił wodę z potoków leśnych, jak król Dawid i nie słuchał głosu ani swojego biédnego żołądka, ani swoich nóg bolących. Z drżącemi ustami, oczyma krwią zaszłemi, z napuchniętemi sino rękoma, z włosami spadającemi na oczy, z czołem potem i krwią okrytém, odprawiał nazajutrz wjazd swój pieszy do Nizzy i konający prawie rzucił się na łoże gospody pod czarnym orłem.

Dobroczynna natura udarowała go ośmnastogodzinnym pokrzepiającym snem. Obudziwszy się, zadzwonił żądając śniadania. Przybył posługacz oberzy, ukłonił się i zapytał: »*Che demanda la sua excellenza!*«

»Masz teraz!« zawołał nasz myśliwy; »otóż aż do Włoch zaszedłem. Trzeba będzie z głodu umrzéć nierozumiejąc po włosku. Niech licho porwie tego przeklętego ptaka!«

W tym kłopocie uciekł się do powszechnego języka i posługaczowi dał na migi do zrozumienia, że z głodu umiéra.

— »*Brodo, manzo, vittelo?*« zapytał posługacz.

— »*Brodo, manzo, vitello!*« mechanicznie pan Chay powtórzył. Zaczął się potém ubiérać. Przy wdziéwaniu kamizelki okropna myśl przyszła mu do głowy: ostatnie pięć franków wydał w Hyéres. Kiesa jego, jak zasuszona skóra węża, została w domu na kominowym murku; łzy stanęły mu w oczach. Prawił monolog, jedyną rzecz, którą w téj chwili mógł miéć darmo: »O jakże smutną figurę przedstawiać będę, gdy mi podadzą rachunek, a nie będę w stanie zapłacić! Do tego jeszcze nie mówię po włosku, ażebym się usprawiedliwił. Wolę z głodu umrzéć niż zostać oszustem, i ani się tknę śniadania, dopokąd wiedziéć nie będę, czy jestem w stanie zapłacić.«

Zaledwo zrobił to heroiczne postanowienie, wszedł posługacz i cały pokój napełnił wonią najsmakowitszych potraw. Pan Chay zrobił szlachetny odpychający gest i posługaczowi wraz z przyniesionemi potrawami z westchnieniem drzwi pokazał.

»Żądam wiolonczeli« rzekł; »*un gran violino, una cosa che fa cosi.*«

I jak najwyraźniéj starał się opisać znakami, stęplem od strzelby nito smyczkiem posuwając po krześle.

— »*Ah!*« zawołał posługacz »*una bassa cantante! un violoncello! ce n'e uno nell' osteria.*« Wybiegł i w krótce wrócił z wiolonczelą, którą u nóg pana Chay złożył.

Słońce radości zajaśniało na twarzy nieszczęśliwego myśliwca. Uściskał instrument jak przyjaciela, którego się w obcym kraju spotyka. »Zapomnę o głodzie i nędzy« rzekł z wyrazem melancholicznym »niosąc sztucę świętą ofiarę.«

Wiolonczela po całym hotelu łagodnobrzmiące rozlewała tony. Mieszkańcy Nizzy są wielkimi przyjaciołmi muzyki i na głos ten ze wszech stron się zbiegli; poklaskując słuchali z zapałem rozdziawiając usta. Wkrótce po całém mieście gruchnęła wieść, że Apolo przybył do Nizzy i jeszcze tego wieczora krążyło ze trzydzieści sonetów, które wszystkie zaczynały się temi wyrazy:

O Febo francese, dio della musica....

Tym czasem biédny Apolo zawsze jeszcze nic nie jadł.

Właściciel oberzy wszedł z uszanowaniem do pokoju i zapytał łamaną francuzczyzną, ażali obcy artysta nie ma chęci dawać kon-

certu po dwa franki od osoby. Byłato błyskawica w ciemnej nocy.

— »To właśnie mój zamiar« odpowiedział pan Chay. »Rozgłoś to mój panie i urządź salę. Jak sądzisz, będzie jaki dochód?«

— »Ręczę za pięćdziesiąt talarów« odrzekł gospodarz.

— »To dobrze« odparł pan Chay. »Jutro daję koncert, a tym czasem każ mi wpan przynieść śniadanie.«

Usiadł i układał afisz, w którym szczególnie ciekawość publiczności zaostrzała fantazyja z waryacyjami, pod tytułem: »Ptak, nocna melodyja.«

— »Czy długo zabawisz pan w Nizzie?« spytał gospodarz, odbierając afisz.

— »Życzyłbym sobie zaraz po koncercie wyjechać. Jak można najłatwiej dostać się do Marsylii?«

— »Wyborna nadarza się sposobność; pojutrze z rana odpływa do Tulonu »Panna siedmiu boleści«, prześliczny bryg; prawie przejazdka dla rozrywki.«

— »Wyśmienicie mój gospodarzu. Bądź łaskaw zamówić dla mnie miejsce na brygu. Kiedyż staniemy w Tulonie?«

— »Tego samego dnia, przed zmrokiem jeszcze. O téj porze wiatr zwykle sprzyja.«

— »Prześlicznie! Oprócz tego nie znam Tulonu. Przybyłem do Hyéres, nie dotykając tego miasta. Spieszyłem się bardzo. Ścigałem ptaka — wielkiego wietrznika — tak, tak, mój panie.«

Koncert był cokolwiek zimny, wpłynęło jednak dwieście franków. »Mam« rzekł artysta »więcéj jak potrzeba do powrócenia do domu;« sto franków rozdał między posługaczów. Hojność ta sprawiła wielkie wrażenie.

Bryg nazajutrz rozwinął żagle, mając na pokładzie artystycznego myśliwca. Pogoda była prześliczna, jak zwykle przy wypływaniu z portu. Morze Śródziemne wiło się w zapienione kędziory fal, a w każdéj wody kropelce błyskała złota gwiazdeczka. Żagle miernie się nadymały; tram miedziany przerzynał nurty z łagodnym szelestem włoskiego monologu. Morze, życica *) i smoła, napełniały powietrze, a zapach ten wraz z okrętem płynął.

*) Żytna trawa piaskowa; (*elymus arenarius.*) P. Red.

Pan Chay, jak człowiek szczęśliwy, przechadzał się po pokładzie. »Co za piękne widowisko!« rzekł z dumą sam do siebie, uśmiéchał się do morza, założył ręce i składał dzięki tak nieszczęsnemu ptakowi, jakoteż swemu duchowi opiekuńczemu.

Kapitan siedział pod masztem, zajadając śniadanie.

— »Nie prawdaż? mamy piękną pogodę kapitanie?«

— »Wiatr od lądu«, mruknął marynarz.

— »No — i cóż?«

— »Co.... cóż?«

— »Aha!« dodał pan Chay, pojrzał ku niebu i nócił piosenkę.

Poszedł do sternika i rzekł:

— »Wiatr od lądu? — He?« — Sternik nic nie odpowiedział. Podróżnik wrócił znowu do kapitana.

— »Dziś kapitanie wypijemy z sobą wazę ponczu w Tulonie.«

Kapitan kiwnął głową.

— »Kapitanie, nie jestżeto Cap Sicié, co tam na dole widzimy?«

— »To przeklęci Anglicy!« zawołał kapitan i cisnął śniadanie w morze.

— »Anglicy! Gdzie Anglicy?« krzyknął pan Chay, odskoczywszy trzy kroki z przestrachu.

— »Cztéry, pięć, sześć, siedm fregat« liczył kapitan, tupnąwszy nogą.

— »Jak sądzisz panie, może nas złapią?« zapytał bledniejąc artysta.

— »Nie, z pewnością nie złapią!«

— »Ach! dzięki Bogu!«

— »Lulką zapalę beczki z prochem i bryg wysadzę w powietrze.«

»Ależ kapitanie, posłuchaj« udając obojętność zawołał pan Chay w trwodze śmiertelnéj.

— »No, słucham..... ale lulki z rąk niepopuszczę!«

»Wszystko dobrze, lecz pomniéj że masz ojców familii na pokładzie. Ja sam na przykład muszę utrzymywać żonę i siedmioro dzieci. Miéj wzgląd na twoję kochaną małżonkę.«

— »Jestem bezżenny.«

— »Nic nieszkodzi — wszelako uważ,«

— »Co tam uważać, uważaj wpan sam panie komedyjancie, że tym łotrom Anglikom w ręce wpaść nie chcę. Czy rozumiész mnie wpan?«

— »Rozumiém, rozumiém kapitanie, nie gniewajmy się niepotrzebnie.«

— »No, no — dobrze już dobrze, panie komedyjancie. Zostaw nas tutaj, niech bez przeszkody pracujemy,, a sam idź na dół i módl się.«

Mgły poranku opadły i ukazała się cała flota Hudsona Lowe. Fregaty taki uformowały szereg, że okręt z najlepszemi żaglami nie byłby w stanie przemknąć się przezeń.

— »A to wszystko dla jednego ptaka!« rzekł pan Chay, cicho łkając ze łzami w oczach. Kapitan grzmiał rozkazami. Jeden statek angielski zbliżał się jak wilk morski, chcący łup swój pochłonąć.

— »Na Boga zaklinam wpana kapitanie« wołał pan Chay ze złożonemi rękoma, »wróćmy do Nizzy.«

— »U licha, mości komedyjancie! jak jeszcze słowo przebąkniesz, każę cię roztrzélać.«

W téj chwili odezwał się dzwón okrętowy i zamilkł.

— »Kto zadzwonił?« zapytał kapitan.

— »Nikt!« odpowiedziała osada.

— »Aha! rozumiém.«

— »Kto zadzwonił?« zapytał pan Chay cichym głosem sternika.

— »Trzydzieści-sześć-funtowa kula, która nam po nad głowy przeleciała.«

Pan Chay obu rękoma nakrył głowę i siadł na pokładzie.

— »Patrzcie,« rzecze sternik »to znowu taka druga trzydzieści-sześć-funtowa, słyszałem jak świsnęła. Tylko o jednę stopę daléj na lewo, a byłaby nas zatopiła. A to... trzecia, czwarta, piąta... osły! Pod Trafalgar na okręcie *Pluto* mieliśmy do połknięcia dziesięć tysięcy takich pigułek.«

— »I to wszystko dla jednego ptaka!« zaszlochał znowu pan Chay.

— »Co pan mówisz?«

— »Nic.«

— »Dzieci, do dział!« zakomenderował kapitan głosem piorunu. Byłto stary wyjadacz morski, któremu na zapach prochu serce z radości skakało.

Pan Chay wstał z bojaźnią dla popatrzenia, co się dzieje, ale na to, co ujrzał, uderzyło mu serce, jak młotem, a dusza usiadła na ramieniu... ujrzał okręt angielski o sto kroków, błysk i nieco białego dymu, a część przednia okrętu zachrobotała.

— »Dobrze célują!« pochwalił sternik.

— »He, co tam wpan robisz mości podróżniku?« krzyknął kapitan, »gdzie masz twoję strzelbę? Przynieś ją tutaj. Nie sądzę bowiem, że ją wieziesz z sobą, ażeby ptaki strzelać.«

Słowem tém jak sztyletem zranił serce poczciwemu panu Chay; drząc i macając po-przed siebie, pełzał ku otworowi, chcąc do kajuty zejść na dół. Tam nieszczęsną strzelbę swoję ujrzał melancholijnie o kąt opartą, a na ten widok wszystkie jego przygody stanęły mu w myśli.« Otóż ona! »rzekł, całą historyję swoję zawarłszy w tych dwóch wyrazach, które cichym głosem do siebie szepnął. A ponieważ nogi już go dłużéj utrzymać nie mogły, padł na poblizką rozpiętą i wiszącą matę i Bogu ducha polecił.

Artyści mają bardzo drażliwy system nerwowy. Przytém dzieje się zawsze, iż po gwałtownych wzburzeniach reakcyja następuje; nerwy słabnieją, ociężałość rozléwa się po kościach, czynność muzgowa omdlewa i sen zmysły ogarta. Podług téj fiziologicznéj teoryi stało się także, iż pan Chay zasnął, nie wiedząc nawet o tém.

Mata nie najprzyjemniéj go chuśtała; śniły się mu dziwne, okropne rzeczy. Marzenia przedłużały sen jego. Gdy się obudził, ujrzał się najciemniejszą nocą otoczonym. Podsłuchiwał i o uszy jego obiło się przeciągłe nader delikatne gwizdnienie. Sądził, że umarł, co rzekł do siebie z tajemniczém zadrzeniem. W przekonaniu tém co raz się bardziéj utwierdzał. W końcu postanowił zdać się zupełnie na los szczęścia i przeleżał kilka godzin w tym stanie zupełnego grobowego spoczynku. Na raz usłyszał kogoś ciężkim zbliżającego się krokiem.

— »Kto tam!« zawołał ponurym, przytłumionym głosem duchów.

— »Ej« odrzekł zbliżający się kapitan, »mości komedyjancie, czy wpan spisz jeszcze? No, wstawajże do licha, jużeśmy w porcie.«

Pan Chay równemi nogami zerwał się z maty. »W porcie!« zawołał i macając dostał się do drabiny; wydrapał się na górę, ujrzał gwiazdy nad głową, oświetlone miasto i odetchnął mocnym zapachem, który się zwykle koło warstatów okrętowych rozchodzi. »Dzięki Bogu jesteśmy w Tulo-

nie!« rzekł do siebie z bijącém z radości sercem: —»Przecież umknęliśmy im gracko« szepnął sternikowi w ucho.

— »N. Panna cud zrobiła; zesłała burzę w chwili, gdyśmy pojmani być mieli.«

— »Co! mieliśmy burzę!« krzyknął pan Chay, przeniknięty mocnym przestrachem.

— »I wpan nawet nie wiész o tém!«

— »Ach tak, tak — burzę! matko wszelkiego miłosierdzia!«

I odszedł na bok dla odmówienia *Salve Regina*, i dla wzięcia strzelby. Lekkim będąc jak piórko wskoczył do jednéj z łodzi otaczających okręt i po trzech uderzeniach wiosłem, wysiadł na placu portowym.

(Dokończenie nastąpi.)

DO H....

Ty! którąm zyskał dla siebie
W wszelkich nadziei rozbiciu,
Jedyna gwiazdo na mém smutném niebie,
Jedyny kwiecie w mém życiu!
Ty, coś mi przyszłość ukazała wzniosłą,
Kiedy mniemałem już ginąć,
Ty coś przychylnie podała mi wiosło,
Bym mógł z nieszczęścia wypłynąć!...
Ty, którą chętnie chlubię się przed światem,
Bo on nie wiele Tobie równych liczy,
Bo jesteś płci twojéj kwiatem,
Anielskiéj wzorem słodyczy!...
O! niech ci niebo odpłaci
I twoję dobroć i cnoty,
Niech szczęście w lubéj postaci
Swemi cię wieńczy pieszczoty!...
W niebiańskich wyroków skutku,
Anieli strzegą cię wierni!...
Dla ciebie życie bez smutku;
Dla ciebie róże bez cierni!...
I w twych nadziei rozkwicie
Wonnym oplataj się wiankiem,
By było piękne twe życie
Jednym majowym porankiem!
...A już ci wiosną zakwita
Twoich aniołków oblicze,
Z nich tobie przyszłość obfita,
Z nich szczęście, rzadko zwodnicze;
Wdziękami niechaj się stroją,
Tkliwością, i cnotą razem,
By były nagrodą twoją,
I twojéj duszy obrazem!...
A Bóg zachowa młode twoje plemię
Bo z nich wykwitną anioły nadobne,
I kiedyś naszę zdobić będą ziemię
Ich wnuki, Tobie podobne.

Al. z. S.....

NAPOLEON W BOULOGNE.

Cesarz wsiadłszy raz na koń zapowiedział, że chce odbyć przegląd morskiego wojska. Rozkazał, ażeby okręty, formujące zamkniętą linię w porcie, opuściły stanowisko, gdyż zamyślał odprawić przegląd a razem popis na morzu. Potém w towarzystwie swojego Mameluka Rustana odbywał zwyczajną przejazdkę, rozkazawszy, ażeby wszystko do jego powrotu było w pogotowiu.

Rozkaz ten zaniesiono natychmiast do admirała Bruix, który z największą obojętnością odpowiedział: »Dzisiaj nie będzie przeglądu. Niech się nikt ani ruszy z miejsca.«

Wkrótce przybył cesarz do portu i spytał czy wszystko tak się stało, jak rozkazał. Doniesiono mu odpowiedź admirała. Kazał ją sobie powtórzyć, z niechęcią tupnął nogą, oczy zaiskrzyły się gniewem i posłał rozkaz do admirała, by natychmiast stawił się przed nim; ale gniew za nadto brał górę nad nim, iżby był mógł admirała spokojnie oczekiwać.

Idzie naprzeciw niemu i spotyka go na pół drogi od baraku. Sztab jeneralny w świcie Napoleona, zatrzymał się, otoczył go i trwożne zachował milczenie, nigdy bowiem nie widział jeszcze tak rozgniewanego cesarza.

»Panie admirale« rzekł Napoleon w tonie ofuknienia »dla czego wpan nie wykonałeś moich rozkazów?«

— »N. Panie« odpowiedział admirał Bruix z uszanowaniem, ale ze stałością umysłu »okropna grozi nam burza. W. c. mość niebawem ją ujrzysz. Chceszli n. panie życie tylu walecznych na takie niebezpieczeństwo narażać?

— »Mości panie« odrzekł cesarz co raz więcéj rozgniewany »mówię raz jeszcze, rozkazałem, dla czegoż wpan rozkazów moich niewypełniłeś? Skutki na mnie spadną, a wpan bądź posłusznym!«

— »N. Panie, nie mogę być posłusznym.«

— »Mości panie, wpan jesteś bezwstydnym.« To rzekłszy cesarz podniósł batożek i zamierzył się na admirała, ten cofnął się o krok, porwał się do szpady i rzekł bledniejąc: »N. Panie, uważ!« Obecni zadrżeli z przestrachu. Cesarz pozostał w przybranéj postawie, z podniesioną do góry ręką i patrzał ostro na admirała, który stał z ręką przy szpadzie. Cesarz rzuca nareszcie batożek, a Bruix odjąwszy rękę od szpady, milcząc, z odkrytą głową, oczekuje końca téj sceny.

»Panie *contre*-admirale Magon« przemówił cesarz »wpan wykonasz to natychmiast, co rozkazałem, a wpan« rzekł zwracając się do Bruixa »opuścisz Boulogne w przeciągu dwudziestu-cztérech godzin i udasz się do Holandyi.«

Cesarz odszedł dla przypatrywania się obrotom floty, które *contre*-admirał Magon wykonać roz-

kazał. Lecz okręty zaledwo swój manewr zaczęły, już się niebo czarnemi chmurami oblekło. Okropnie łyskało się i grzmiało, a wichr szeregi okrętów rozdzielał. Nareszcie stało się, co admirał przepowiedział: straszna burza rozpędziła okręty i wszystkie były blizkiemi zatonienia.

Ze spuszczoną głową, z ponurą twarzą, z założonemi na krzyż rękoma, cesarz wielkiemi krokami przechadzał się po placu, gdy na raz dał się słyszeć krzyk straszliwy. Około dwadzieścia szałup puszkarskich rozbiło się o brzegi. Płynący na nich nieszczęśliwi walczyli z bałwanami i wzywali pomocy, ale niebezpieczeństwo było tak wielkie, że nikt się ratować nie ośmielił.

Nareszcie cesarz wyrwał się z chcących zatrzymać go ramion, a zawoławszy: »Puśćcie mnie, trzeba im dać pomoc« na przeznaczoną do ratowania łódz wskoczył. Łódź cesarza napełniła się wodą; morze bałwany przez głowę mu miotało; jeden omało nie strącił go z łodzi; kapelusz wpadł mu do morza. Ten rzadkiéj odwagi przykład zachęcił oficerów, żołnierzy i obywateli; wskakali do łodzi, lub prosto rzucali się w morze, dla ocalenia nieszczęśliwych. Lecz tylko małą ilość osady z szałup puszkarskich można było uratować, a nazajutrz wyrzuciło morze przeszło dwieście trupów i kapelusz zwycięzcy pod Marengo.

Byłto smutny poranek dla całego obozu. Nie jeden poznał przyjaciela między trupami, wyrzuconemi z wód toni. Cesarz był bardzo zmartwiony i widać było, że żałował popełnionej względem admirała niesłuszności; lecz nie mniej jest prawdą, że Bruix także się winnym okazał, gdyż odpowiedziami w najwyższym stopniu rozjątrzył cesarza i lakonicznem wzbranianiem się skłonił go do wydania rozkazu, który mógłby może uległością swoją zatrzymać.

— Ze Lwowa. —

Przed niejakim czasem (w Nrze. 18. Rozmaitości) donieśliśmy o wyjściu w Petersburgu, dwóch tomów poezyj, dwóch braci Grzymałowskich — teraz wyszedł tom trzeciego brata i po jego wyjściu wszystkie trzy połączone zostały w jeden zbiór i przybrały tytuł ogólny: »Poezye trzech braci: Waleryana, Klemensa, Juljana Grzymałowskich, *Białorusinów*.« Ze wspólnem godłem z Reja:

»A ochoczéj zasię młodzi
Pofolgować godzi.«

Każdy tom ma jeszcze oddzielny tytuł; jako to: tom 1, (Waleryana, stron. licz. 163,) *Zabawki Poetyckie;* — tom 2, (Klemensa, str. licz. 169,) *Próbki Poetyczne;* — tom 3, (Juljana, str. 138,) *Preludia Poetyczne.* Wszystkie trzy tomy drukowane w Petersburgu, u Hazenbergera. Wydanie wcale schludne i poprawne.

Nowo-wyszły tom trzeci, dobrze odpowiedział poprzedzającym i prace trzech braci stanowią zbiór poezyj, tym przyjemniej dający się czytać, że każdy z nich ma sobie właściwy charakter. *(T.P.)*

Z Pragi. Wyszło tu dzieło: Obraz literacki Sławian narzecza czeskiego w Czechach, Morawie i Węgrach od r. 1825. do r. 1837. Napisany i wydany po czesku przez J. W. J. Michla. Zeszyt I. od 1go do 6go arkusza stronic 96. (Dzieło nader pracowicie z wyczerpaniem wszystkich do tego źródeł, i z dobrym porządkiem ułożone, a stosownemi uwagami zwięźle i dokładnie objaśnione.) W wychodzących w Pradze Kwiatach czeskich w Nrze. 25tym z b. r. znajduje się przełożona po czesku przez J. Riegiera, legenda czeska z r. 1184: Sobiesław Wtóry, napisana przez Adama Gorczyńskiego, a umieszczona w I. tomie Sławianina, wydania Stanisława Jaszowskiego we Lwowie. A...

Tadeusza Bułgaryna najnowszego rossyjskiego dzieła: (Rossyja pod historycznym, statystycznym, jeograficznym i literackim względem) w końcu kwietnia wyszły w Petersburgu piérwsze cztéry tomy. Ponieważ autorowi w ciągu jego pracy pod piórem prawie rósł przedmiot, zmuszony był przeto odstąpić od piérwotnego planu. Miasto przyobiecanych ośmiu tomów wyjdzie ich teraz dwanaście; ostatnie ośm w dwóch oddziałach. Wiadomości statystyczne zawierają skarb ciekawych i ważnych materyałów, czerpanych ze źródeł urzędowych.

W Berlinie było w piérwszém półroczu b. roku 1696 uczniów; w Mnichowie 1320; w Getyndze 823; we Wrocławiu 768; w Bonie 701; w Tybindze 644; w Würzburgu 461; w Heidelbergu 456; w Jenie 419; w Kiel 263; we Lwowie 1356. *(Mnem.)*

W roku bieżącym przygotowują się także do wyprawienia wielkiego festynu muzycznego w Manszestrze. Ponieważ panna Grisi za śpiew swój na tym festynie żądała ogromnego honoraryum 150,000 fran., zgodzono więc panią Schröder-Devrient, która za 25,000 franków śpiewać będzie.

Byron nie chciał z początku za swoje poezyje brać honoraryum i nakładnik jego Murray musiał się mu raz aż naprzykrzać, ażeby przyjął banknot na 1000 funtów za »Oblężenie Koryntu« i za »Parysianę.« Z czasem nawykł do brania honoraryum i za pisma swoje otrzymał w ogóle około 25,000 funt. szter. Teraźniejsi poeci byliby grzeczniejsi w tym względzie i księgarze, nie potrzebowaliby naprzykrzać się im z swojemi pieniędzmi.

Sławny karzeł rodem z Polski, nazwiskiem Hrabia (?) Borysławski, mający teraz lat 99, żyje w Anglii niedaleko Durham w dobrach do niego należących. Jest jeszcze dość czerstwy i może dójdzie do lat 100.

Donoszą z Państw rzymskich o ważnych wykopaniach, przedsiębranych nie dawno koło Fallerone. Natrafiono na starożytny pod ziemią lasu dębowego ukryty teatr, którego mury około czterdziesci stóp wzdłuż zajmują. W skutek podjętych robot, oczyszczono scenę tego amfiteatru i okazała się lepiéj zachowaną, jak sceny teatrów w Saguole i Pompei.

Przełożony paryzkiego klubu szachowego, znanego pod imieniem *Palamedesa*, otrzymał nie dawno niespodziewane wyzwanie. Pewien namiętny miłośnik szachów, od lat wielu ociemniały, zaprojektował przełożonemu klubu kilka partyj na równe siły, pod warunkiem wszakże, ażeby obaj gracze, nie mając szachownicy przed oczyma, li z pamięci grali. Przełożony klubu szachowego p. Labourdonnais nie wahał się przyjąć wyzwania, a jak walka się odbędzie, nie omieszkamy w swoim czasie donieść o tem z dzienników paryzkich czytelnikom naszego pisma.

Pisma publiczne spomniały nie dawno o wynalezionym przez pewnego Anglika telegrafie elektrycznym. Komunikacyja za pomocą takich telegrafów dziać się ma przez dróty, przeciągnione z jednego do drugiego miejsca i w jednem z nich galwanizowane, albo elektryzowane. Koszta założenia takiego telegrafu nie mają być zbyt wielkie i o wiele mniejsze od zakładania kolei żelaznej. Obliczono, że telegraf elektryczny może jednę literę z Londynu do Edynburga (o 400 mil angielskich) donieść w sekundzie, przeto wiadomość z 65 słów złożona, potrzebowałaby tylko na to 5 min. czasu. Noc lub mgła nie są dla takiego telegrafu przeszkodą. Nie opisano nam jednak bliższych o tem szczegółów.

W Belgium zaprowadzono chwalebny zwyczaj, iż każdy z codziennych gości w szynkowni, traktyjerni lub domu gier, składa pewny datek dla ubogich. Rząd zwyczajowi temu, który pokrywa znaczną część wydatków na ubogich, tym sposobem większą daje zachętę, że postanowił temu gronu gości, od których najwięcej w ciągu roku do kassy ubogich wpłynie, ofiarować wieniec honorowy, który ma być w tryumfie zawieszony w sali gościnnej.

Aptékarz Johnson w Paryżu robi cygara z liści bielunu dzięidzierawy (*Datura Stramonium*), które chorzy, cierpiący na kurcz w piersiach lub astmę, palą według przepisów lekarza.

Czytamy w pismach publicznych: Rossyjski statek parowy «Carewicz«, w ostatniéj podróży swojej z Hawru do Hamburga, omało nie stał się widownią tragicznego wypadku, dowodzącego, że człowiek w przywiązaniu do źwiérząt może być również namiętnym, jak dla podobnych sobie istot. Podeszła dama rossyjska, płynąca na pomienionym statku, miała przy sobie niepokaźnego wprawdzie, ale bardzo zmyślnego pieska, którego z najtkliwszą pieściła starannością. Nie spuszczając go ani na chwilę z oka, przytém dogadzając mu we wszystkiem, wielce przywiązała go do siebie. Biedne to źwiérzę stało się z téj przyczyny przedmiotém żartów młodych na statku osób. Jeden z chłopców okrętowych, w porozumieniu z dwoma drugimi młodzikami, potrafił po kilkakrotnych daremnych usiłowaniach, tajemnie wziąć damie pieska i bądź przez niezręczność, bądź umyślnie, strącili go w morze z pokładu. Spostrzegłszy to dama i nie namyślając się długo, jak matka widząca dziecko w niebezpieczeństwie, rzuca się w morze za pieskiem. Udało się jéj uchwycić tonące źwiérzę, ale sama na spód się zanurzywszy, byłaby niezawodnie padła przywiązania swojego ofiarą, gdyby nie majtek hamburski, imieniem Zacharyasz Holpvelt, który za tonącą wskoczywszy do morza, w sam czas ją jeszcze ocalił. Scena, następująca po téj tak nagłéj zmianie przypadkow, była również rozrzewniającą, jak pocieszną: dama bowiem to niebu to wybawcy swojemu za ocalenie składała dzięki, a przytém uradowana ściskała pieska, którego z ramion popuścić już nie chciała. Odważnemu majtkowi hojny ofiarowała darunek i wyznaczyła pensyję dla zabezpieczenia go na dalsze lata. »Nagradzam cię« rzekła »nie za to, żeś mnie na pomoc pospieszył, lecz że ocaliłeś mojego pieska, jedyną istotę, która mi zawsze wierną pozostała.« Skoro wiadomość o tym wypadku do Anglii doszła, tamtejsze towarzystwo emancypacyi źwiérząt uchwaliło przesłać medal zaszczytny spomnionéj damie, jako bohaterce w przywiązaniu do źwiérząt.

Jeden z krewnych Beethowena, otrzymujący niekiedy wsparcie od tego muzyka, kupił parę morgów pola i podpisywał się odtąd właścicielem dóbr. Tak dalece przyzwyczaił się do tego, że raz nawet z takim tytułem podpisał się w liście do Beethowena. Ten odpowiedział mu na to krótko a dobitnie. »Mój kochany, list twój z dnia 6go otrzymałem i przekonywam się z niego, że jesteś wielkim osłem. Twój Ludwik van Beethowen, właściciel muzgu.«

W wyszłych właśnie w Paryżu »Podróżach marszałka Marmont po Wschodzie, w latach 1834 i 1835« znajdujemy następujący, góry Libanu dotyczący się ustęp, który tem więcej zadziwia czytelnika, gdy pomni, że on pochodzi z pióra żołnierza, co na bojowiskach i w zgiełku wielkiego świata życie przepędził: »W podróży mojéj na górę Libanu (mówi Marmont) doznawałem tak mocnego uczucia, jakiego ani przewidzieć, ani władzy jego odgadnąć nie mogłem. Dźwięk klasztornych i kościelnych dzwonów nagle uderzywszy w powietrze, obił się o moje uszy. Głos ten dla Europejczyka, który go w tych górach słyszy, ma coś zachwycającego. Nie mogłem być obojętnym na te śrebrno-dźwięczne tony, bijące w powietrze i przypominające mi wiarę méj ojczyzny. To uroczyste do modlitwy wzywanie działa na każdą rozumną i czułą istotę, przypomina nam bowiem, cośmy winni stworcy, a oraz przywodzi na pamięć uznanie tych potrzeb, które co dzień dobrodziejstwami jego zaspokajamy. Wspólny głos ten, którego wymowa jest w całém chrześciaństwie jednakową; który tak dobitnie przemawia do nas w dwóch najważniejszych epokach życia, przy chrzcie i przy śmierci; który mieszkańców gorącéj Iberyi z mieszkańcami lodowatych brzegów Newy tak ścisłym kojarzy węzłem: ten od wszystkich zrozumiany, wszędzie te same myśli, te same życzenia wzniecający wyraz, w oddaleniu od Europy nie może zabrzmieć, ażeby w sercu wędrowca nie wzbudził mimowolnego, świętego zadrżenia. Tony te wszystko wyrażają: wiarę, spomnienia, ojczyznę, nadzieję, wszystko wreszcie, co zapełnia serce człowieka, i wznosi go nad niego samego. Człowiek czuje wtedy tak wielką potrzebę połączenia się z tymi, którzy równe z nim dzielą uczucia; serce jego tak bardzo lęka się usamotnienia! To w ten sposób od Boga utworzone serce pragnie udzielać się i brać udział, chce należéć do uczestnictwa wspólnego szczęścia. Podróżny spotykający pośród barbarzyńców wiarę swoję i obrządek religijny, mniéma się w kole pobratymców.«

Wiadomości z wysp małajskich przybyłe do Anglii ostatnim statkiem parowym donoszą, że królowa tamtejsza powiła bliźnięta i że na uczcie dawanéj z tego powodu, fajki i opium główną grały rolę. Dzienniki angielskie zawierają przytem wyjątki z *Sandwich Island Gazette*, pisma wychodzącego w języku angielskim na wyspie Sandwichskiéj Honolulu, a którego numera do dnia 10go grudnia 1836 dochodzą. Z tych gazet dowiadujemy się, że mieszkańcy wysp malajskich obeznani są ze wszystkiemi artykułami zbytku ucywilizowanych ludów; w ich sklepach sprzedają konfitury chińskie, wina szampańskie, Maderę i Bordeaux, rum z Jamaiki, wódkę i syry z Holandyi, westwalskie szynki, oliwki i cukierki europejskie. Na wyspie Honolulu pozakładano restauracyje, a angielscy przedsiębiercy tych zakładów, dla zaostrzenia apetytu łakotnisiów tamtejszych, oprócz przysmaków europejskich i azyatyckich, zastawiają im także pieczone psy, ulubioną potrawę wyspiarzy.

Niech wierzy kto chce! Pisma zagraniczne donoszą, że mundur, który Karol XII. w bitwie pod Pułtawą nosił, a który pułkownik Rosen, towarzyszący mu do Pułtawy, przechował, sprzedano w Edynburgu za 22,500 funt. szt. (około 225,000 złr. m. k.)

Anegdota: »Przed początkiem świata, co było na świecie?« zapytał bakałarz swoich uczniów. »Nie wiem, nie wiem,« odpowiadają z kolei, a bakałarz też z kolei za tę niewiadomość każdego częstuje porządną porcyją dyscypliny. »Może ty mi odpowiesz?« pyta nareszcie dziewczynę, także swoję uczennicę »przed początkiem świata, co było na świecie?« »Tego dokładnie wiedzieć nie można; »rzecze zagadniona. »O co tak to dobrze! tego dokładnie wiedzieć nie można, tak to dobrze!« zawołał bakałarz z radością »już to ja zawsze powiadałem, dziewczęta są pojętniejsze od chłopców.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*